

Szczecin 12.09. 2020 r.

prof. dr hab. Andrzej Skrendo

Instytut Literatury i Nowych Mediów

Uniwersytet Szczeciński

Recenzja rozprawy doktorskiej mgra Jana Zająca

Zranione słowa. Agoniczne i dyskryminacyjne aspekty dyskursu metaliterackiego

Drugą lekturę rozprawy doktorskiej Jana Zająca należy zacząć z pewnością od ostatniego rozdziału, być może nawet – od ostatniego akapitu. Zostaje ten przywołana *Przedmowa do Filidora dzieckiem podszytego* – Zając nazywa ją swoim najważniejszym tekstem teoretycznym (poza pracami Rancière’a, ale to na razie zostawmy). We wcześniejszych częściach rozprawy zajmuje się Gombrowiczem – wspominając na końcu o *Ferdydurke* chce zatem coś ważnego dopowiedzieć. Ale co? To nie jest jasne, bo zamiast wyjaśnienia otrzymujemy wyznanie: „Nie jestem pewien co to znaczy [przywołanie *Przedmowy*...] dla tej pracy, ani dla mnie jako teoretyka literatury. Pomyślałem jednak, że dla metodologicznej rzetelności należało o tym wspomnieć” (s. 141).

Zaczynam od ostatniego akapitu, bo odnajdujemy w nim kilka tropów, które warte są namysłu. Kwalifikację gatunkową – autor stwierdza, że przedkłada rozprawę z

zakresu teorii literatury. Podkreślenie wagi metodologii dla prowadzenia wywodu. Uwagę o rzetelności jako cesze ważnej dla autora, a która to cecha nie jest po prostu wynikiem wyboru jakiejś określonej metodologii i do wyborów czysto metodologicznych nie daje się sprowadzić. Wskazanie na *Przedmowę...* jako – jak rozumiem – rodzaj postscriptum do przeprowadzonego wywodu. Przede wszystkim zaś – gest osobliwego zawieszenia głosu, jakiejś apozjopezy, parabazy, a w tym wszystkim jeszcze pobrzmiewający ton wyznania. Wszystkie to są wątki, które rzeczywiście sporo mówią o tym, z czym mamy do czynienia w przypadku pracy Jana Zajęca.

Co jednak z pierwszą lekturą? Oczywiście należy ją przeprowadzić od początku do końca – ale tylko po to, aby upewnić się, że idea linearnego rozwoju wywodu jest czymś, co zostaje na różne sposoby podważone. W sposób świadomy, przemyślny, można by nawet powiedzieć, że wyrachowany. Wyrachowany, bo Jan Zając pisząc w taki a nie w inny sposób, wie, co robi. Nie mam wątpliwości, że mamy do czynienia z autorem dojrzałym, dobrze panującym nad materia swego wywodu, domyślnym, byстрыm, piszącym w sposób, by tak rzec, nieoczywisty – i dochodzącym do nieoczywistych wniosków. Jego praca ma strukturę addytywną: dodaje rozdziały, które pozostają w relacji nieciągłości. Zarazem narracja prowadzona jest w sposób repetycyjny i spiralny, w tym sensie, że w kolejnych rozdziałach Zając powraca jakby do tych samych wątków, nijako osacza swój temat, pokazując za każdym razem, że zmierza dalej i gdzie indziej niż się spodziewaliśmy – i że stawka gry, którą prowadzi z czytelnikiem, wciąż rośnie. Aż do ostatniego rozdziału, który przynosi rodzaj jakiejś *anagnorisis*, rozpoznania, sugestywnego zwieńczenia. Na końcu okazuje się bowiem, że Zając chce nam dać rodzaj antropologii emancypacyjnej, teorii wartości, nawet –

ontologii. Jej założenia wykląda, co uważam za odważny i prowokacyjny gest, w przypisie (nr 365 na s. 138). Być może z tego powodu, że z ontologii tej nie jest łatwo wywieść pewnych tez, na których Zającowi zależy równie mocno jak na niej samej. Za chwilę do tego wrócę.

Nie wszystko zatem się wyjaśnia. Bez wątpienia w takim sposobie prowadzenia wywodu (a zwłaszcza wyboru egzemplifikacji historycznoliterackiej, patrz zwłaszcza rozdział 2) jest coś z kaprysu. Sporo kwestii pozostaje zawieszonych, niedopowiedzianych, niepewnych. Zając pewną arbitralność swych wywodów, skojarzeń i analogii tłumaczy za pomocą argumentu, przyznajmy, aż nazbyt zgranego: że tak czy owak na arbitralność jesteśmy skazani, bo każdy patrzy ze swego kąta (jak objaśniał Nietzsche). Na szczęście argument ten ładnie, by tak rzec, ogrywa: daje niebanalne uzasadnienia, a przede wszystkim nadal zależy mu na rzetelności wywodu. Będą teoretykiem literatury wciąż pozostaje filologiem – a filologiczna akrybia nie jest mu obca. Słowem, powołując się na *Przedmowę do Filidora dzieckiem podszytego* Zając pragnie (między innymi, bo nie tylko) przypomnieć nam następujące słowa Gombrowicza: „Lecz gdyby specjaliści znawcy i badacze, wyspecjalizowane Pimki od konstruowania pupy za pomocą wytykania braków konstrukcyjnych w dziele artystycznym, uczynili mi taki [bałaganu konstrukcyjnego] zarzut [...] dowiodę, że konstrukcja moja pod względem ścisłości i logiki nie ustępuje najściślejszym i najbardziej logicznym konstrukcjom”. Jako „wyspecjalizowany Pimko” chciałbym wyznać – naśladowując nieco ton samego Doktoranta – że doceniam jego robotę. I że dostrzegam logikę. Pamiętam o tym, że Zając nazywa swoją pracę „esejem” (s. 138), ale też i nie zapominam, że na stronie tytułowej widnieje formuła „rozprawa doktorska”.

Nie są to, jak wiadomo, gatunki tożsame, ani chyba nawet blisko spokrewnione. Jednak gra, którą Zajac podjął, wskazując te dwie formy wypowiedzi jako swego rodzaju punkty orientacji, godna jest szacunku i uznania. Ma bowiem wysokie walory intelektualne.

Oczywiście, gdzieś w tej grze pojawia się też karta, którą na mocy tradycji nazywamy teorią literatury – i to chyba pewien milczący konsensus dotyczący tego, czym bywa dziś teoria literatury, stanowi uzasadnienie eseistyczności wywodu Jana Zajaca. Ponadto przyznaje się on do czegoś, co nazywa – za Krystyną Kłosińską i Nancy k. Miller – *personal criticism*, a co nie jest praktyka ekshibicjonistyczną, lecz wyrazem pragnienia, „aby to, co polityczne, teoretyczne, <spotkało się>, przenicowane, z perspektywą osobistą” (zob. 137). I rzeczywiście, można by zasadnie powiedzieć, że w swej pracy Zajac wszczyna ruch wzajemnego przenicowywania się różnych pojęć, wartości, idei. Chodzi mu o budowanie napięcia – i może właśnie z tego powodu jego rozprawę tak dobrze się czyta.

Na czym jednak polega główna jej myśl? Jaki jest główny cel? Jak się zdaje najważniejsze założenie brzmi: „brak konsensusu oraz rozmaite dyskryminujące praktyki nie są wynaturzeniem dyskursu metaliterackiego, ale raczej są wpisane w jego logikę”. Dzieje się tak „ponieważ przecięte są tą samą negatywnością, która przecina społeczeństwo, stając się przyczyną konfliktów, ale też umożliwiając ruch i zmianę” (s. 139). Myśl u źródeł heglowska, ale wnioski, do jakich dochodzi Zajac, bardziej kantowskie. Przechodząc drogą od Bourdieu do Rancière’a Zajac przyjmuje, że estetyka nie jest jedyną mistyfikacją lub sublimacją pozycji społecznej, ale dowodzi „istnienia jakiegoś, psychologicznie czy transcendentalnie rozumianego, pozaspołecznego

komponentu doświadczenia estetycznego” (s. 27). „Ostatecznie [...] to, co umożliwiłoby emancypację, leży na znacznie głębszym poziomie ludzkiej egzystencji niż lektura książek, nawet jeśli lektura książek może – lecz przecież nie musi – być emancypacji symptomem” (s. 132). I to jest chyba główna myśl rozprawy Zająca: wszędzie szuka on różnych opisów swojej nadziei na emancypację. Rozgląda się za czymś, co ma dziwną naturę polegającą na tym, że z pewnych powodów – metafizycznych, transcendentalnych lub psychologicznych – nie daje się sprowadzić do niczego innego. Zobaczymy, jak Zając wyklada antropologię emancypacyjną Gombrowicza: „to, że Inny stawia mi opór i że oboje możemy doczuwać ból sprawia, że możliwe (i pożądane) jest, żeby dwa podmioty stanęły naprzeciw siebie jako dwie istoty ludzkie, zawieszając inne uwarunkowania” (s. 128). Uderzająca jest w tym sformułowaniu obecność motywu deontologicznego („pożądane”!), a także wiara w możliwość „zawieszenia uwarunkowań”. Równie istotna jest, wyznana nieco dalej, wiara w „konieczność znalezienia w człowieku uniwersalnego potencjału, który dawałby mu szansę na wyzwolenie”. Owa konieczność zostaje nazwana „niezwykle istotną próbą” (s. 128).

Oczywiście, jak wiemy, powstały wielkie dzieła na temat możliwości „zawieszenia” (np. Husserla) i można by powiedzieć nawet, że od kogoś, kto formułuje tego rodzaju nadzieje co Zając, można by oczekiwać jakiegoś szerszego namysłu nad językiem filozoficznym, którego używa. Ujawnienie historycznego – co tu oznacza: zakorzenionego głęboko w tradycji metafizycznej – tła rozważań Zająca pokazałoby, że nadzieja na uniwersalizm nie daje się łatwo pogodzić z przesłankami ontologicznymi przyjmowanymi przez Zająca. Jeśli, jak czytamy we wspomnianym przypisie 365,

pierwszym założeniem ontologicznym jest, że „język opiera się w swoim funkcjonowaniu na pracy różnicy, naznaczony jest on wyjściowo pewną nieredukowalną negatywnością” (s. 138), to jak znaleźć ów „głębszy poziomie ludzkiej egzystencji”, a nawet – jakkolwiek głębie? Dalej: jeśli negatywność objawia się za pomocą sporów, a ich charakter wynika z „pozycji podmiotowych” (s. 139) zajmowanych przez strony sporu, to kto lub co zajmuje pozycję? Czy istnieją podmioty czy tylko pozycje podmiotowe? W szczególności – czy podmioty istnieją przed lub po wyjściu z pozycji podmiotowej? Czy można być w pozycji niezajmowania pozycji? Jeśli istnieją tylko nieredukowalne różnice, to skąd nadzieja na wyzwolenie? Jak się ma sprawa pozycji do owej nadziei na uniwersalną potencjalność, która objawi się po odrzuceniu wszystkich uwarunkowań – i czy praca różnicy nie przenicowuje także kogoś, kto miałby objawić się poza uwarunkowaniami? Jeszcze inaczej mówiąc – może nazbyt łatwo Zając przechodzi od antagonistyki Loytarda do domniemanego agonizmu Gombrowicza?

Może coś wyjaśniałoby tu pojęcie Rzeczywistości (pisane dużą literą) z *Przedmowy do Filidora...* albowiem, jak wyklada Gombrowicz, Rzeczywistość ma tę dziwną właściwość, że „jest zawsze bogatsza od naiwnych iluzji i kłamliwych fikcji”. Lecz co by to miało znaczyć, że Rzeczywistość jest rezerwuarem „uniwersalnego potencjału”? Muszę tu zastrzec, że oczywiście zgodziłbym się, gdyby w odpowiedzi na te pytania Jan Zając stwierdził, że potrzebowałby kolejnej książki (lub kilku), żeby sformułować odpowiedź. Zarazem jednak pytania te trudno odsunąć – nawet jeśli sam Zając odsuwa je zgrabnym ruchem, na przykład za pomocą zawieszenia głosu lub retorycznego pytania.

Wyraziwszy kilka wątpliwości, spieszę jeszcze dodać, że zagłębiając się w wywody Jana Zająca znajdujemy nie tylko znaki zapytania, ale też mocne sygnały porządku. Mechanika powtórzeń, którą tak zachwalał w *Przedmowie...* Gombrowicz, rzeczywiście wytwarza u Zająca uporządkowania. Pierwszy rozdział zawiera m.in. polemikę z Bourdieu, według którego czytelnik „nie oznacza żadnej pozycji” i choć „jest stawką, [...] nie dotyczą go żadne stawki” (s. 28). Tymczasem ostatni rozdział w całości poświęcony jest sprawie czytania (i, co ważne, nieczytania!) i zmierza do wniosku, że „pozycja czytelnika jest pozycją o najbardziej uniwersalnym charakterze” (s. 131). Ponadto odkrywamy, że o czytelniku pisał też Zająć w rozdziale drugim, poświęconym sygnaturze, upominając się o miejsce „aktorów niepodpisanych” w dyskursie metaliterackim (s. 54). Od sprawy czytelnika do sprawy czytelnika – to jedna z klamr kompozycyjnych pracy Jana Zająca.

Inna klamra wydaje się jeszcze ważniejsza. W rozdziale pierwszym Zająć zarzuca Bourdieu, że jego teoria pola nie ma zastosowania do Polski, bo wiedzie do tezy o „faktycznym nieistnieniu literatury jako autonomicznego pola w polskich warunkach” (s. 25). Wynika to z upadku lub nieistnienia *illusio*, czyli przekonania o istnieniu specyficznej wartości ujawniającej się w polu i odniesionej do czyjegoś interesu. Na koniec Zająć pisze: „Jako badacz i jako osoba jest uformowany przez zanik akademickiej *illusio*, będący lustrzanym odbiciem zaniku literackiej *illusio* [...] Pisałem ze świadomością, że gra którą przyszło nam (humanistkom i humanistom) grać, w ostatecznym rozrachunku nie przewiduje dla nas miejsca, jeżeli będziemy chcieli pozostać w akademickim obiegu”. W związku z tym Zająć pragnie opracować „alternatywną teorię wartości” (s. 141), czyli taką, „która uzasadniałaby wysiłek

podejmowany przez mnie i przez wciąż jeszcze liczne szeregi młodych badaczek i badaczy, w sytuacji, w której wiara w wartość stawek rozgrywanych w polu nie może być dłużej w żaden sposób podtrzymywana”. Dalej tłumaczy, że nie sposób wierzyć, że istnieją rzeczy, które warte są podjęcia same w sobie. Antropologia emancypacyjna, która to by zakładała, okazałaby się rychło „naiwna” (tamże). Co więcej, wiara, że się jest depozytariuszem wartości sprawia, że humaniści to „środowisko naukowe [...] szczególnie podatne na brutalne rynkowe interwencje. Łatwo jest wyzyskać ludzi, którzy wierzą, że ich praca jest cenna sama w sobie i że wykonywaliby ją nawet gdyby nie musieli” (tamże). I tu właśnie pojawia się wspomniane przez mnie na początku odwołanie do *Przedmowy do Filidora...* Czy znajdujemy w niej jakąś odpowiedź na gorzkie i prawdziwe, niestety, słowa Jana Zająca? Poza ogólnym wezwaniem, że potrzeba nam „chytrości niesłychanej i wielkiej uczciwość myśli, i niezmiernego zaostrenia inteligencji — iżby człowiek umknął swej sztywności i zdołał pogodzić w sobie formę i bezformie, prawo i anarchię, dojrzałość i niedojrzałość wieczystą i świętą”? Wyznam, że tego nie wiem – powtarzając na koniec końcowy gest Jana Zająca. Ale pewien jestem czego innego: że rozprawa doktorska Jana Zająca jest wyrazem „chytrości niesłychanej”, „wielkiej uczciwości myśli” oraz „niezmiernego zaostrenia inteligencji”. W konkluzji stwierdzam zatem, że spełnia wszystkie wymagania stawiane przez Ustawę i wnoszę o dopuszczenie mgra Jana Zająca do dalszych etapów przewodu doktorskiego.